

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

2

— Ach! Jaka ty zawsze jesteś obojętna, moja Lolu.. Tak, jakby nie chodziło o twojego jedynego brata...

— Cóż mu pomogę tem, że przeziębę się i odmrozę sobie nogi?...

Panna Lola, pomimo futerka popielicowego, futrzanej czapeczki i zarękawka, drży istotnie z zimna. Jest bardzo anemiczna. Świadczą o tem jej blade wargi i żółtawa cera. Niedawno powróciła do domu z klasztornej pensji, przywołując świadectwo z ukończonego liceum i blednicę. Nie jest właściwie ładna, ale mogłaby nią być, gdyby trochę zdrowiej wyglądała i więcej miała w sobie młodzieńczej żywości. Ciemne oczy panienki spoglądają spokojnie i chłodno, ale jest w nich coś, co ostrzega, że spokój ten może być tylko chwilowy i pozorny.

Wkrótce pan Adamski pojawił się znowu. Miał poważną, strapioną minę, która trochę komicznie odbijała od jego puculuwatej twarzy, o różowej, błyszczącej skórze.

— Pani dobrodziejo, pan Konrad asenterowany...

Pani Żarnicka zbladła. Wargi jej zadrgały, powieki nerwowo mrugały. Ze spokojnej twarzy Loli nie można było nic wyczytać.

— No, przy takim słabym zdrowiu, po niedawno przebytej chorobie, to pewnie tylko do służby pomocniczej — usiłował pocieszać pan Adamski.

Zbyt dumna i nadto panująca nad sobą, aby na ulicy wśród tłumów głośno objawiać lub choćby nawet zdradzić tylko swoje uczucia — zdołała zachować pozorny spokój.

— Tak?... Dziękuję panu! — powiedziała lekko drżącym głosem, nie wdając się w żadne dalsze objaśnienia, ni przypuszczenia.

— To chodźmy, mamol — zaproponowała Lola. — Wiemy już, jak jest, a Konrad przecie sam do domu trafi.

— Chodźmy! Do widzenia panu!

Adamski głębokim ukłonem pożegnał panie. Kilka ubogo ubranych kobiet usunęło się skwapliwie na bok, tworząc wolne przejście dla pani Żarnickiej. Może uczuły szacunek dla właścicielki pięknej, dwupiętrowej kamienicy w rynku, może olśniło je kosztowne futro, a może onieśmieliły duma i chłód, wiejące od tej wyniosłej postaci.

— Biedna — szepłano tu i ówdzie — syna jej wzięli...

Ale z głośniejszym, poufalszym słowem zainteresowania jakoś nikt nie spieszył. Pani Żarnicka miała coś w sobie, co ludziom imponuje i trzyma ich w pewnym oddaleniu.

Powoli tłum zaczynał się rozchodzić. Asenterunek dobiegał końca, prawie każdy znał już wyrok komisji, to też z każdą chwilą topniała liczba zgromadzonych przed gmachem „Sokoła”. Rozchodzili się tem spieszniej, że dokuczliwy chłód naglił do odwrotu w ogrzane ściany mieszkań. Pozostała tylko gromadka najwytrwalszych kobiet, które postanowiły czekać na składających wojskową przysięgę „pospolitaków”. Przemoczone, zziębnięte, kulili się pod murami i czekały, nie chcąc stracić ani jednej chwili z krótkiej już obecności najbliższych — najmilszych — jakby obawiając się, aby im ich nie wydarło już dzisiaj, zaraz... Przeszły nawet rozmawiać. Niektóre płakały, inne zachowywały się spokojnie, ale wszystkie były smutne. Opadło z nich gorączkowe podniecenie wyczekiwania, a miejsce jego zajęła już pewność. Wieczór już zapadał, kiedy z bramy gmachu zaczęły wysuwać się pojedynczo lub małymi grupkami postacie „zaprzysiężonych”.

Jakiś parobczak wiejski, podpity trochę, czapkę z fantazją na bakier przekręcił i na cały głos zawiódł:

Matusz moja, matusz,
Coś mnie wychowała,
Czemużes mnie, matusz,
Do wojska oddała!

Prós-że, dziewczę, Boga
I ja będę prosić,
Żebym ja nie musiał
Karabinka nosić!

Prosiłam ja Boga,
Nie mogłam uprosić

Musisz ty, chłopaku,
Karabinek nosić!

Ówdzie ktoś inny nucił zcicha:

Napiszę na listeczku
Proście, szczerze słowa:
Zegnaj mi najukochańsza
I bądźże mi zdrowa!

Napiszę ci na listeczku,
W smutku, że łza w oku,
Ze mi dali mundur szary
I szablę do boku,

Jak już będę maszerował
Na śmiertelne boje,
Napiszę ci krwawą serdeczną,
Ze to o nieswoje!

Smętne, półgłosne nucenie zgłuszył chóralny śpiew, który w powietrze wieczoru uderzył piosenką rekrucką:

Oj! Zapłaczesz, dziewczyno!
Oj! Zapłaczesz!
Jak mnie na koniku
Z szabelką zobaczysz! *)

— Może to już i koniec będzie, kiedy Moskale „rewolucyją” zrobili i cara do kryminalu zamkeli!

— Dziwy się dzieją, moja pani, że już człowiek ani sam wie, co o tem myśleć ma!... A do stała też pani tych gminnych ziemniaków?

— Ale gdzieś! Wysłałam się cztery godziny na zimnie, na wietrze i z próżnym koszykiem poszłam do domu, bo zabrakło ziemniaków...

— A ten piekarz, Abramson, na naszej ulicy, piekarnię zamknął i już coś cztery dni chleba nie sprzedaje...

— Może nie ma maki?

— Aha, nie ma!... Ma, ale jak mu kto po sześć koron za kilo da!... A to złodziej! Cholera!...

— I jest to sprawiedliwość?... Że to z nim porządku nie zrobią!

— A kóż będzie robił, kiedy on radcą jest i tyle pieniędzy ma, że wszystko zasmaruje!... A biednemu — wiadomo — zawsze w oczy wiatr wieje!...

— Oj!... Tak, tak!...

Żarnicka rzuciła się synowi na szyję:

— Ach, Konradzie! Znowu to samol!... Oddalenie! Niepokój! Taki straszny niepokój dla mnie! O! Szcześliwi ci, co idą, ale my, które zostajemy!...

Łzy spływały jej po policzkach. Mogła nareszcie ulżyć sercu i wypłakać się swobodnie.

Konrad pochylił się do ręki matki i pocałował ją.

— Niechże mamusia tego tak tragicznie nie bierze!... Raczej cieszyć się mama powinna, że mnie uznano za zdrowego zucha — usiłował żartować z bladym trochę uśmiechem.

— Ach, Boże!

— Ale teraz, to proszę o kolację, bo jestem tak głodny, że zanim pójde do wojska, mogę umrzeć z głodu!

Matka otarła oczy i przestała płakać, jakby uspokożona swobodnym tonem syna. Panowała już znowu nad swoim wzburzeniem. Łzy były wogóle u tej kobiety rzadkością i nigdy nie płynęły długo.

— Lolu, każ podawać herbatę! Co będziesz jadł, Konradzie? Jajecznice, czy szynkę?

— Może być to i to. Głodny jestem jak wilk!

Lola wysunęła się z pokoju i za chwilę zjawili się na stole filiżanki z gorącą, wonną herbatą, a wkrótce potem jajecznica.

Konrad usiadł, ale, pomimo zapowiadanego apetytu, jakoś do jedzenia się nie zabierał. Mieszał łyżeczką herbatę i spoglądał przed siebie w takim zamyśleniu, że brwi, zsunięte na czoło, utworzyły głęboką zmarszczkę.

— Dlaczego nie jesz? Jajecznica stygnie. Weź szynki, doskonała! Chcesz?

— Tak... tak... proszę...

Machinalnie położył na talerzu duży, apetycznie różowy płat szynki i powoli rozrywał go nożem i widelcem.

— Kiedy spodziewasz się powołania? — zapytała Żarnicka.

— Prawdopodobnie za jakieś kilkanaście dni lub może nawet wcześniej... Tak, tak... nie mam czasu do stracenia!... Niech mamusia będzie tak dobrą i zapakuje mi trochę rzeczy do podróжной walizki!... Jutro muszę jechać...

Twarz Żarnickiej drgnęła żywo.

— Jakto, jutro?! Dokąd pojedziesz? A, może chcesz poczynić jakie starania?...

Konrad podniósł na matkę swoje piękne, ciemne oczy, które twarz jego, prawie, że nieładną, czyniły dziwnie pociągającą.

— Pojadę do mojej narzeczonej, do Józii!... Chcę się ożenić mamol, zanim wyruszę do wojska!

Piers Żarnickiej zafalowała nagle gwałtownie, czarne oczy zaiskrzyły się gniewem i wladczym, przenikliwym spojrzeniem wbiły się w twarz syna.

Przez chwilę panowała cisza.

— Co? — przerwała wreszcie matka kłopotliwe, ciężkie, jak powietrze przed burzą, milczenie. — Ty się chcesz żenić?... Teraz?... I to z tą... z tą... Józją!... Ty żartujesz chyba, Konradzie!

Konrad wyrzucił wzrok matki.

— Nie myślę zupełnie o żartach. Mówię najzupełniej poważnie i chyba mamę to nawet dziwić nie powinno...

Lola przygryzła nagle wargi i pochyliła głowę nisko nad talerzem, aby ukryć i stłumić śmiech. Siosunek młodej dziewczyny do matki i brata nie był nazbyt serdeczny. Lola miała żal do matki za to, że wyróżnia i rozpieszcza syna, pobiła jego wybrykom i płaci jego dług, a dla niej, dla córki, skąpo odlicza pieniądze i z każdego grosza żąda rachunku. To też budziło się w niej złośliwe zadowolenie, ilekroć „mamin synek”, jak pocichu nazywała brata, przygotował jakąś niemilą dla matki niespodziankę.

O miłości jego do Józii Maliniewicz słyszała, ale była przekonana, że ta historia miłosna skończy się, jak wiele innych. Matka wyperswaduje Konradowi, odwróci uwagę jego zrecznie w inną stronę, podsunie zmiennemu młodzieńcowi nowy przedmiot zainteresowania i ostatecznie syn się podda, a wkońcu zapomni.

Lola pamiętała przecież, jakie to awantury działy się w domu, kiedy Konrad, wkrótce po zdaniu matury, zakochał się w jakiejś mężalce i chciał ją rozwodzić z mężem... W parę lat później zaręczył się z urzędniczką pocztową, o kilka lat starszą od siebie... W jednym i drugim wypadku i jeszcze w kilku innych, interwencja pani Żarnickiej dokonała swego. Konrad z początku występował energicznie, potem miękł, protestował coraz słabiej — wreszcie przyznawał matce słusność i w niedługim czasie znajdował sobie nową miłość... Więc chyba i teraz... Napsuje mamie trochę krwi i koniec. Chociaż Loli zdało się, że w głosie brata słyszy jakiś ton bardziej męski, więcej stanowczy, niż zwykle.

Pani Żarnicka, która w pierwszej chwili przeżaliła się i zdumiała, ochłonęła wkrótce, odzyskała spokój i równowagę umysłu.

Chłodnym, drwiącym trochę tonem rzekła:

— Nie rozumiem, jak ci podobne głupstwo do głowy strzelić mogło!...

— Dlaczego mama to głupstwem nazywa?

— No, daruj, ale nie wiem doprawdy, jak taki pomysł nazwać inaczej! Żenić się ni stąd, ni zowąd i to w takich warunkach!...

— O, przepraszam bardzo! Wcale ni stąd ni zowąd... Ja właściwie powinienem być już wtedy, zaraz po mojej chorobie... Sam nie rozumiem, jak się to stało, że tego dotychczas nie zrobiłem. Tak się to jakoś odwlekło...

Pani Żarnicka wiedziała wprawdzie doskonale, jak się to stało i dlaczego się odwlekło, ale nie uznawała za stosowne tłumaczyć tego synowi.

— Mówisz, Konradzie, jak egzaltowany młodzik! Co znaczy: powinienem! Nad tem można jeszcze dyskutować...

Łagodna, trochę jakby rozmarzona twarz Konrada zmieniła się. Zacięły się usta, oczy błysnęły ostro. Stał się w tej chwili bardzo podobnym do matki.

— Nie, nie może być żadnej dyskusji!... Bo mniejsza o to, czy powinienem... Mama i tak nie chce zrozumieć tego, co Józia dla mnie zrobiła i co poświęciła!... Najważniejsze jest to, że ja chcę się żenić!...

Lola siedziała cichutko i słuchała z takim napięciem, że aż zarumieniła się jej blada cera i poczerwieniały uszy.

Żarnicka nie dała się zbić z tropu energicznym synowskim: „chcę”. Postanowiła jednak zmienić taktikę. Pohamowała gniew, zgryzła w sobie ostre zarzuty przeciw Józii i dopiero po dłuższej chwili milczenia rzekła niedbale, jakby od niechcenia:

— Moje dziecko, to jeszcze mało, że ty chcesz...

Pytanie, czy ty możesz...

Konrad odepchnął ręką talerz, wyprostował się na krześle i spojrzał matce prosto w oczy.

— Jakto! Co mama przez to rozumie?

*) Wyjątek z wiersza Stanisława Stwory.